

Marek Zatwarnicki

NOWA KARTAGINA

MORZE OGNI

Prolog

Samotny koń wspiął się na niewysoki pagórek położony przy górskiej ścieżce. Na grzbiecie wierzchowca siedział bogato ubrany jeździec. Jego strój zasłaniało kilka warstw skór, mających chronić przed chłodnym wiatrem. Twarz wojownika pokrywała długa, czarna broda. Pomimo posmarowania ochronną warstwą łoju, jego policzki stały się czerwone od mrozu. Niemalże nie dało się dostrzec szlachetnych rysów Kartagińczyka.

Punijczyk zatrzymał się na szczycie, a po spojrzeniu na roztaczającą się przed nim lodową pustynię ciężko westchnął. Przeprowadzenie przez Alpy było dopiero początkiem kampanii przeciwko Rzymowi, a jego ludzie już ginęli w tysiącach. Olbrzymia armia weszła na ścieżkę prowadzącą przez góry zaledwie tydzień wcześniej, a liczba zmarzniętych i konających z głodu sięgnęła już dziesięciu tysięcy. Żołnierze coraz częściej podważali jego autorytet. Trzeba było ponownie wzbudzić w nich wolę walki.

– Hannibalu! – krzyknął ktoś z dołu. Wołający miał na sobie skózaną, ozdobną zbroję i lnianą narzutę – Bracie, jesteście zgubieni!

Wódz bez pośpiechu zjechał ze wzgórza, zeskoczył z konia, a następnie odpiął hełm i wcisnął go do rąk służącego.

– Co się stało Magonie? – spytał Barkas, z pozoru spokojnie. Jego ręka wydawała się trząść.

– Ta ścieżka nie jest już aktualna. Była dobra pół roku, może rok temu. Niecałe pół mili stąd droga zwięża się i przechodzi przez niewielki wąwóz. Bogowie nam nie sprzyjają bracie. Kamienie osunęły się w dół. Przejście blokuje olbrzymi głaz. Nie precyzyjnie się nawet najdrobniejszy chłopiec obozowy.

– Bogom nic do tego co tu robimy, niech zajmą się swoimi sprawami. Tą wojnę toczą ludzie, a jedyną osobą o boskich mocach jestem tu ja. To nic. Każ się nie zatrzymywać. Przejdziemy za kilka godzin. Rozkaż swoim najsilniejszym ludziom przynieść tam jak najwięcej suchego drewna i chłodnego wina.

– W jaki sposób ogień strawi skałę? – zapytał ze zdziwieniem Magon.

– Nie strawi – odparł zagadkowo Hannibal, wskakując na wierzchowca.

Po przejechaniu kilka tysięcy stóp, wzdłuż wygłodzonych, zmarzniętych Iberów i Afrykańczyków nie przyzwyczajonych do mrozu, wódz stanął na miejscu, zeskoczył na ziemię i z podniesioną głową spojrzał na głaz. Wbrew pozorom wcale nie martwił się przeszkodą. Przeciwnie, mógł udowodnić swoim ludziom, że brak wiary w ich przywódcę to poważny błąd.

Kilka chwil później na miejscu zjawili się tragarze niosący długie, drewniane patyki nasączone oliwą i wielkie amfory pełne czerwonego trunku. Żołnierze wyglądali na przerażonych wizją powrotu drogą, którą przyszl. Nie przypominali dumnego wojska zdobywającego Sagunto i podporządkowującego sobie całą Iberię. Obserwator mógłby stwierdzić, że jest to raczej armia duchów w obdartych strojach. Panowała cisza. Wszyscy stali oczekując na rozkazy.

– Podłożyć ogień pod głąz – rozkazał Hannibal, obserwując parę opuszczającą jego usta. Słudzy posłusznie wykonali polecenie, a pod skałą rozbłysły najpierw iskry, a następnie płomienie – wino połóżcie w śniegu, ma się ochłodzić. To zajmie jeszcze trochę czasu. Jest tu jakiś oficer?

– Ja – oznajmił bogato ubrany Iber ze skórą narzuconą na plecy.

– Przekaż dowództwu, żeby kazali rozpocząć musztrę. Żołnierze muszą się ruszać, w przeciwnym razie zamarzną. I pamiętajcie żołnierzu, jeżeli jesteśmy w stanie przejść przez takie piekło, to walka z Rzymem będzie dla was przyjemna jak dotyk kobiety.

– Tak jest panie – przytaknął Hiszpan, by po chwili wskoczyć na wierzchowca podstawionego przez jakiegoś szeregowego.

– To chyba odpowiedni moment. Polejcie głąz winem, potem odczekajcie chwilę, zróbcie to jeszcze raz i jeszcze raz, aż natura nam się podda – zawołał Hannibal, jakby był to rutynowy rozkaz w czasie musztry. Żołnierze popatrzyli po sobie ze zdziwieniem, ale posłusznie wykonali polecenie. Skała spłynęła czerwonym trunkiem gotującym się na jej powierzchni.

– Panie? – odezwał niepewnie jeden z oficerów – chyba nie powinniśmy tak marnować opału. Nasi ludzie zamarzną, góry zabrały już wielu.

Wódz skrzywił się i głosem brzmącym jak rozkaz egzekucji oznajmił:

– Ich śmierć to nie powód żeby ginęli wszyscy. Jeśli mi nie wierzycie żołnierzu to proszę podejdźcie do tej skały. Przecież nic się nie wydarzy. – oficer spojrzał na niego niepewnie – No dalej. To rozkaz – zakończył dobitnie.

Żołnierz ruszył do przodu, ale nie był już tak pewny siebie. Po stanięciu przy płonących gałązkach oliwnych, odwrócił się w stronę reszty wojska. Iberyjscy wojownicy opróżnili już piątą amforę wypełnioną winem. Błoto i roztopiony śnieg mieszały się z czerwonym trunkiem. Wszyscy wydawali się coraz bardziej zrezygnowani. Głąz ani drgnął. Oficer uśmiechnął się pod nosem.

Niespodziewanie ścieżką przetoczył się donośny trzask odbijający się od górskich szczytów, a następnie łomot spadających na siebie potężnych odłamków skalnych. Człowiek, który przeciwstawił się działaniom swojego wodza zniknął pod rumowiskiem. Już nikt nigdy nie miał zobaczyć jego ciała.

Początkowo w szeregach Kartagińczyków panowała cisza. Nie spodziewano się, że tak szalony pomysł ma szansę powodzenia. Po chwili rozległy się wiwaty pochodzące z tysięcy chorych i przemarzniętych gardeł. Żołnierze dziękowali bogom, licząc na szybkie zejście do Italijskich dolin. Hannibal skrzywił się i miarowym krokiem ruszył w stronę swojego konia. Gdyby kierowali wami bogowie, zamarzlibyście próbując rozłupać tą skałę – szepnął z odrazą sam do siebie, a następnie rozkazał wznowić pochód. Od Italii dzieliły go zaledwie trzy dni marszu.